

O blaskach i cieniach demokratycznego podejmowania decyzji gospodarczych

Autor: Jakub Bożydar Wiśniewski

Zdaniem ekonomisty i filozofa libertariańskiego [Hansa-Hermannna Hoppego](#), demokracja – rozumiana jako ustrój polityczny – jest najbardziej hołubionym ze świeckich bożyszcz współczesności. Twierdzi on również, że jest to bożyszcze, które w spektakularny sposób zawiodło pokładane weń przez jego wyznawców nadzieje. Niezależnie jednak od tego, czy teza Hoppego jest prawdziwa, deklaratywne uwielbienie dla demokracji w świecie nie wydaje się słabnąć – nieczęsto słyszy się stwierdzenia, że świat stał się już zanadto demokratyczny; przeciwnie – bezustannie słyszy się głosy, że demokracji jest wciąż za mało, przy czym wypowiedzi takie zdają się padać coraz częściej w odniesieniu do kontekstu nie politycznego, a gospodarczego. Cóż dokładnie miałyby jednak oznaczać wspomniane nawoływania do „demokratyzacji gospodarki”? Przeszczepiając z gruntu polityczną definicję demokracji jako formy rządów, w której reprezentanci większości decydują o losach ogółu, można przypuścić, że na gruncie gospodarczym miałyby ona oznaczać prymat decyzji rzeczonych reprezentantów nad decyzjami indywidualnych właścicieli co do sposobu wykorzystania posiadanych przez tych drugich zasobów. Nakreśliwszy powyższą definicję, warto zastanowić się, czy możliwe jest moralne bądź ekonomiczne (efektywnościowe) uzasadnienie jej treści.

W pierwszej kolejności skupię się na kwestiach moralnych. Prawdopodobnie najważniejsze pytanie, jakie należy sobie zadać w tym kontekście, brzmi: jaka procedura jest w stanie uzasadnić objęcie danego zasobu w czyjekolwiek prywatne posiadanie? Najpowszechniejszą odpowiedzią na to pytanie jest odpowiedź Locke’owska, która, jak osobiście sądzę, ma silne, choć rzadko przywoływane źródła kartezjańskie. Otóż z „myślę” wynika nie tylko „jestem”, lecz również „posiadam” - posiadam swój umysł oraz kontrolowane przezeń ciało. A skoro tak, to posiadaniem swoim obejmuję także swoje czyny, czyli pracę swojego ciała i umysłu. Aby uniknąć arbitralności w przerwaniu powyższego łańcucha implikacji, trzeba też uznać, że naturalne prawo własności przenika z wyżej wzmiankowanej pracy na owoce tejże – poprzez powiązanie i „zmieszanie” swej pracy z bezpieczeństwa zasobami naturalnymi, stajemy się ich jedynymi prawowitymi właścicielami. Jako tacy uzyskujemy również możliwość przekazania swych praw własności dowolnie wybranym osobom na drodze wymiany, darowizny bądź spadku.

Niniejsza lockowsko-kartezjańska perspektywa wydaje się najbardziej obiecującą nie tylko ze względu na swój zdroworozsądkowy charakter i wewnętrzną spójność, ale też z uwagi na to, jak chwiejne i niezadowolające są wszelkie wobec niej alternatywy. Założenie na przykład, że naturalne prawo do użytkowania danej puli zasobów posiada ogół mieszkańców danego obszaru, nie jest w stanie wyzwolić się z pułapki arbitralności – bo też o jakim obszarze mówimy? Gdzie przebiegają jego granice i kto miałby je wyznaczyć? Na podstawie jakich

niełosowych kryteriów możemy zdefiniować grupę rzekomo mającą przyrodzone prawo do kolektywnego użytkowania danego asortymentu dóbr naturalnych? Nie wydaje się, aby istniała jakakolwiek logicznie uzasadniona odpowiedź na powyższe pytania.

Inne podejście mogłoby sugerować, że ziemskie surowce należą do ogółu racjonalnych mieszkańców planety i w związku z tym w kwestii wykorzystania dowolnego z nich władzę decyzyjną powinien posiadać każdy człowiek. To stanowisko nie tylko wymaga jednak podparcia się wątpliwą i trudną do umotywowania kolektywistyczną metafizyką, ale jest też zupełnie nierealizowalne z praktycznego punktu widzenia – codziennie ludzie rodzą się i umierają, a wielu z nich ma bardzo chwiejne i labilne skale preferencji; jaki kształt i jaki skład miałoby więc przyjąć walne zgromadzenie decydujące o takim bądź innym wykorzystaniu globalnych zasobów? Ponadto, czy w zatwierdzaniu danego wyboru obowiązywałaby rzeczona zgromadzenie zasada jednomyślności, czy może zasada większości? I co należałoby począć z przyszłymi pokoleniami – czyż każde orzeczenie podjęte przez ogół żyjących nie ograniczałoby praw decyzyjnych tych, którzy dopiero nadejdą? Jak wreszcie zebrać opinie wszystkich uprawnionych do ich wyrażania i wspólnego wprowadzania w życie? Ktoś mógłby zasugerować wykorzystanie w tym celu instytucji demokracji przedstawicielskiej, ale zgodnie z rozpatrywanym stanowiskiem tego rodzaju instytucje musiałyby być uprzednio stworzone na mocy globalnego postanowienia *bezpośredniego*, a wciąż nie wiadomo, w jaki sposób można by do takiego postanowienia doprowadzić. Podsumowując, alternatywy wobec lockowsko-kartezjańskiej analizy powstawania oraz propozycji uzasadnienia praw własności okazują się niedostateczne. Co więcej, jako że [analiza lockowsko-kartezjańska sama w sobie nie budzi zastrzeżeń natury logicznej](#), tym bardziej powinniśmy uznać ją za prawdziwą.

Kolejne pytanie brzmi więc teraz: czy istnieją jakiegokolwiek inne powody, niezwiązane z teorią własności, które mogłyby umotywować twierdzenie, iż większa grupa jednostek, które nie wniosły żadnego uzgodnionego wkładu w produktywnie przekształcenie danej puli zasobów, może w imię swoich interesów wykorzystać rzeczone zasoby, znosząc tym samym wyłączność decyzyjną ich pierwotnego posiadacza? Naturalnie nie wystarczy tu powołać się na liczby – jak błyskotliwie wyraził to filozof moralny John Taurek, same w sobie „liczby się nie liczą”. Z kolei [ekonomista Walter Block](#) często posługuje się następującym eksperymentem myślowym: wyobraź sobie, że do twojego domu wpada tuzin nieznajomych jegomościów i bierze się za wynoszenie twoich sprzętów domowych. Kiedy protestujesz, grożąc wezwaniem służb ochronnych, jeden z nieproszonych gości odpowiada: „Chwileczkę, jesteśmy przecież wszyscy dobrymi demokratami. Rozsądźmy ten spór na drodze głosowania”. Nie sądzę, aby jakikolwiek szanujący logikę czytelnik był w stanie wyciągnąć z powyższego scenariusza jakikolwiek wniosek inny niż ten, że pojawiający się w nim rabusie postanowili nie tylko ograbić swą ofiarę, ale też w szyderczy sposób ubliżyć jej inteligencji. Skoro zaś „liczby się nie liczą”, w zasadniczej ocenie moralnej danego zjawiska (tzn. wyrażającej wobec niego aprobatę bądź dezaprobatę, bez wnikania w jej głębię) nie liczy się też jego skala. Jako że ustrój demokratyczny można porównać z upośrednionym, wielkoskalowym odpowiednikiem scenariusza przedstawionego przez Blocka, jak najbardziej zasadnym staje się pytanie, czy i narzucona odgórnie demokracja nie jest formą rabunku powiązanego z potwarzą dla inteligencji rabowanego.

Alternatywą dla teorii prawno-naturalnej jest teoria utylitarystyczna. obrońca „demokratyzacji gospodarki” mógłby więc argumentować, że każdy prywatny właściciel powinien liczyć się z ewentualnością bycia wywłaszczonym, jako że podobne wywłaszczenie służyć może maksymalizacji społecznej użyteczności, pożądanej tak ze względów moralnych jak i ekonomicznych. Niestety, piętą achillesową utylitarystyki jest jego uderzające podobieństwo do występujących w ekonomii neoklasycznej modeli równowagowych, polegające na zaniżaniu, upraszczaniu bądź ignorowaniu w analizowanych scenariuszach wymiaru czasowego oraz kwestii niepewności przyszłości. Nie odnoszę się tu już nawet do zarzutu głoszącego, że użyteczność jest wielkością psychologiczną, mierzalną jedynie na skali porządkowej i jedynie przez odczuwający jej wzrost lub spadek podmiot. Wynika z tego, iż niemożliwe jest dokonywanie międzyosobowych porównań użyteczności (czego wymagałoby ekonomiczne uzasadnienie jakiegokolwiek przymusowego zaboru bądź redystrybucji prywatnego mienia). Mam tu raczej na myśli negatywne pokłosie utylitarystyki wynikające ze stwarzania niebezpiecznych precedensów, których szkodliwość objawia się w pełnej krasie dopiero z upływem czasu.

Innymi słowy, nawet jeśli można by było obiektywnie zawyrokować, że dany akt demokratycznie zatwierdzonej redystrybucji znacznie zwiększył całkowitą społeczną użyteczność, prawdopodobnym następstwem akceptacji tego rodzaju działań byłaby znaczna erozja szacunku dla praw własności, a co za tym idzie pogorszenie się klimatu dla przedsiębiorczości, akumulacji kapitału, inwestycji i ogólnie myślenia długofalowego. W zamian upowszechnieniu uległyby krótkowzroczność, roszczeniowość i ochota na pasożytnicze bogacenie się cudzym kosztem. W świetle powyższych obserwacji nie wydaje się nierozsądnym przypuszczenie, że przyjęcie podejścia utylitarystycznego w odniesieniu do kwestii praw własności doprowadzi w dłuższej perspektywie do obniżenia się całkowitej społecznej użyteczności. Biorąc pod uwagę miejsce intencji w piekielnym planie budowlanym, nie jest to wcale przypuszczenie paradoksalne.

Póki co nie znajdujemy więc uzasadnienia dla demokratycznego dysponowania tym, co niegdyś będąc bezpańskie, zostało następnie w sposób produktywny przekształcone przez indywidualnych przedsiębiorców. Istnieje jednak osobliwy argument głoszący, iż jako że pracownicy dowolnej firmy w sposób produktywny użytkują kapitał zgromadzony przez jej właściciela, stają się tym samym także firmy współwłaścicielami i otrzymują prawo współdecydowania o kierunku jej rozwoju. Argument ten, posiłkujący się wspomnianą wcześniej Locke'owską zasadą uzyskiwania praw własności na drodze zagospodarowywania zasobów niczyich, pomija fakt, iż zasada ta nie odnosi się do zasobów, które weszły już w czyjeś posiadanie. To, jakie kompetencje decyzyjne uzyskuje użytkownik nieposiadanego przez siebie mienia, wynika wyłącznie z umowy zawartej uprzednio pomiędzy właścicielem a użytkownikiem. Jeśli w umowie takiej nie znalazła się żadna wzmianka dotycząca ewentualnego współdecydowania o losie użytkowanego mienia, wówczas całość kompetencji w tym zakresie pozostaje w ręku właściciela.

Słabą stroną wyżej opisywanego argumentu można też ukazać za pomocą następującego *reductio ad absurdum*. Załóżmy, że w pierwszym scenariuszu firma produkująca dany towar płaci właścicielowi pojazdu ciężarowego za przewóz ładunku do punktu docelowego.

Założmy dalej, że drugi scenariusz różni się od pierwszego tylko tym, że to firma jest właścicielem pojazdu ciężarowego, wynajmującym kierowcę do jego obsługi. Wedle zwolennika tezy, iż zasada Locke'owska obowiązuje nawet po produktywnym przekształceniu danego dobra przez jego pierwszego użytkownika, kierowca powinien uzyskać udziały w firmie w drugim, ale nie w pierwszym scenariuszu, choć to w drugim scenariuszu firma ponosi dodatkowe koszty związane z konserwacją pojazdu, a wkład kierowcy w operację przewozu jest dużo mniejszy.

Patrząc natomiast na czysto efektywnościową stronę omawianej tezy, należy zauważyć, że stoi ona w całkowitej opozycji do korzyści płynących z zastosowania zasady podziału pracy. Skuteczny przedsiębiorca nieprzypadkowo staje się głównym decydentem w założonej lub nabytej przez siebie firmie. Jego pozycja jest rezultatem ewolucyjnego procesu oddolnej selekcji osób najlepiej spełniających funkcje składające się na dziedzinę przedsiębiorczości: pozyskiwanie informacji rynkowej, zdobywanie funduszy na zakup środków produkcji, przewidywanie niepewnej przeszłości, dokonywanie rachunku ekonomicznego i budowanie sprawnej struktury organizacyjnej. Są to funkcje kluczowe dla zaistnienia i prawidłowego działania firmy, dla której przedsiębiorca jest tym, czym dla organizmu ludzkiego jest mózg. Wyobraźmy sobie teraz (odrobinę personifikując), co mogłoby się zdarzyć, gdyby pozostałe części ciała, użytkujące przecież ten sam „organiczny kapitał” co mózg, poczęły rościć sobie prawo do współdecydowania o przebiegu procesów kognitywnych. Wyobraźmy sobie, co mogłoby się stać, gdyby majtkowie zażądali od kapitana prawa do gremialnego kierowania kursem okrętu. Wyobraźmy sobie, co mogłoby nastąpić, gdyby wszystkie osoby, które dobrowolnie zatrudniły się w danej firmie na konkretnych stanowiskach – inżynierów, technologów, robotników, sekretarzy, księgowych, menedżerów – zadeklarowały nagle, że wszystkim im należy się część kompetencji kierowniczych. Nietrudno przewidzieć, iż we wszystkich powyżej naszkicowanych scenariuszach skutkiem byłby chaos, rozpad dotychczas działającej struktury organizacyjnej i w najlepszym razie bardzo znaczne straty wydajności, a w najgorszym bankructwo przedsiębiorstwa.

Trzeba też zauważyć, że tak naprawdę każdemu zainteresowanemu przysługuje możliwość współdecydowania o losach wybranego podmiotu gospodarczego poprzez zainwestowanie weń własnego kapitału i zostanie udziałowcem. Demokracja obowiązuje zatem wśród tych, którzy gotowi są podjąć obowiązki i brzemiona przedsiębiorcy, ale nie wśród tych, którzy dobrowolnie przyjęli powinności innego rodzaju, również bardzo istotne, lecz skupiające się wokół wypełniania poleceń, a nie ich wydawania. Podsumowując, sukces gospodarczy możliwy jest tylko wtedy, gdy każdy wykonuje ten rodzaj pracy, na którym zna się najlepiej, i gdy nie usiłuje ingerować w wybory tych, którzy wykonują swoje, odmienne zadania.

Na koniec należy wspomnieć, że istnieją oczywiście niepolityczne, oparte na dobrowolności, a więc nie budzące moralnych wątpliwości formy demokratycznego zarządzania podmiotami ekonomicznymi – w wolnym społeczeństwie, w którym nikomu nie przysługują polityczne fawory, każdy ma możliwość swobodnego działania w organizacji o dowolnym kształcie, pod warunkiem, że organizacja ta nie inicjuje wobec nikogo agresji. Każdy więc, kto wierzy, iż w osobie wykonującej dowolny zawód drzemią umiejętności przedsiębiorcy i biznesowego decydenta, może w wolnym społeczeństwie założyć kooperatyw pracowniczy bądź wstąpić

do podobnej organizacji, a następnie konkurować na równych zasadach z firmami o wertykalnej strukturze. Demokratyczny sposób podejmowania decyzji gospodarczych jest więc dopuszczalny (a dla osób o określonych preferencjach może być wręcz korzystny), ale jest też wtórny wobec poszanowania dla praw własności i nie może ingerować w ich rynkowe rozłożenie.

Inną niepolityczną i nieposiłkującą się przemocą formą demokracji jest także to, co [Ludwig von Mises określił mianem „demokracji rynkowej”](#), gdzie każdy ma możliwość wyrażenia swojego głosu poprzez korzystanie lub wstrzymanie się od korzystania z usług dowolnego oferenta. Co niezmiernie istotne, w makroskali demokratyczny charakter rynku opiera się na zasadzie większości (w największej obfitości wytwarzane będą te dobra i usługi, na które popyt wyraża większość), ale w mikroskali opiera się na zasadzie jednomyślności (pomyślnie przeprowadzenie każdej transakcji rynkowej wymaga zgody wszystkich uczestniczących stron). [Demokracja rynkowa](#) jest zatem jedną wielką grą o sumie pozytywnej; dobrowolność partycypacji w jej strukturach świadczy o tym, że wszyscy zainteresowani – tak wśród kupujących, jak i sprzedających – preferują stan potransakcyjny od stanu przedtransakcyjnego, co jednoznacznie znamionuje wzrost całkowitej społecznej użyteczności.

Konkludując, wydaje się, że rację mają ci, którzy wyrażają wątpliwości względem politycznych metod zarządzania gospodarką, choćby były to i metody demokratyczne. Z drugiej jednak strony, z finalnych uwag zawartych w niniejszym artykule wynika, że wszystkie użyteczne, odpolitycznione rodzaje demokracji rozkwitają tam, gdzie ekonomia opiera się w pełni na dobrowolności, kontraktowości i szacunku dla praw własności prywatnej. Każdy zatem, kto pragnie współuczestniczyć w nadawaniu gospodarce kierunku i kształtu, winien czynić jak najszerszy użytek ze swej roli nie wyborczej, lecz konsumenckiej.

30 października 2009